TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie....$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii....$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 27. Chicago, Ill., Czwartek, 7-go Lipca, 1898 Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Lato miało się ku końcowi; ostatnie kwiaty głogu odlatywały. Czarna suknia nowicyatki była obsypaną ich czerwonemi listkami. Smutnie patrzała Helena na powolne, miarowe spadanie żółtych klonowych liści, i tylko szmer przybliżających się kroków wyrwał ją z zadumy. Podniosła głowę, poznała przełożoną i wstała by iść na jej spotkanie, gdy nagle ujrzawszy Srebrnego, krzyknęła, schwyciła się za serce i w omdleniu padła na ławkę.

Zakonnica odezwała się łagodnie:

— Nie bój się, dzieweczko, to znajomy bojarzyn, przyjaciel twego męża, przybył tu naumyślnie, by pożegnać się z tobą.

Helena nie mogła odpowiadać. Drżała jeno, i jakby w przerażeniu patrzała na księcia.

— Długo oboje milczeli.

— Oto — wymówił w końcu Srebrny — oto, jakeśmy się obaczyli!

— Nie mogliśmy się widzieć inaczej — odpowiedziała tak cicho Helena, że ledwie dosłyszeć było można.

— Dla czegożeś nie poczekała na mnie, Heleno Dmitryewno!

— Gdybym poczekała na ciebie — wyszeptała nowicyatka — nie miałabym siły... nie pozwoliłbyś mi... dosyć i tak już nagrzeszyłam, Nikito Romanyczu! ..

Znowu nastało milczenie. Serce Srebrnemu biło gwałtownie.

Wreszcie zawołał przerywanym z wzruszenia głosem.

— Heleno Dmitryewno, na zawsze się żegnam z tobą! na zawsze Heleno Dmitryewno! pozwólżeż mi ostatni raz spojrzeć na ciebie, pozwól ostatni raz twoje oczy obaczyć! odrzuć welon, Heleno!

Helena wychudłą ręką podniosła czarny welon, przykrywający wierzchnią część jej twarzy i książę ujrzał te same miłe, piękne, poczerwieniałe od łez oczy, i ten sam wzrok cichy, łagodny, choć przymglony od wycieńczenia, cierpienia i od niesypianych nocy.

I padł przed nią na kolana i wołał w rozpaczy:

— Żegnaj Heleno, żegnaj na wielki! O Boże. daj mi zapomnieć, żeśmy mogli być szczęśliwi!

— Nie, Nikito Romanowiczu — rzekła smutnie Helena — szczęścia dla nas nie było! Krew Drużyny Andreicza byłaby pomiędzy szczęściem a nami. Za mnie popadł w niełaskę u cara, jam przeciw niemu zgrzeszyła, jam jest winną jego śmierci. Nie Nikito Romanowiczu, nie mogliśmy być szczęśliwi. I któż teraz jest szczęśliwym!

— Tak — powtórzył Srebrny — któż teraz jest szczęśliwy! Zagniewam Bóg na Ruś św. nie myślałem jednak, że za życie będziemy się musieli rozstać na wieki!

Helena uśmiechnęła się smutnie.

— Nie na wieki, Nikito Romanowiczu, jeno tutaj, w tem życiu. Nie powinniśmy się weselić wtedy, gdy całą ziemię smutek ogarnia.

— Dla czegoż nie złożyłem głowy pod tatarską szablą — mówił smutnie Srebrny Dla czegoż nie stracił mnie car, gdym mu sam oddał się w ręce. I cóż mi zostało teraz na świecie.

— Nieść swój krzyż, Nikito Romanowiczu, jako i ja swój niosę. Los twój lżejszym jest od mego. Możesz walczyć za ojczyznę, a mnie pozostaje tylko modlić się za ciebie i pokutować za swój grzech

— Jaka ojczyzna'' Gdzie nasza ojczyzna?! — rozpaczał Srebrny — Z kim walczyć? Nie Tatar, lecz car niszczy ojczyznę. Myśli mi się plączą, Heleno Dmitryewna. Ty jedna jeszcześ podtrzymywała mą duszę. Teraz wszystko przedemną się pomroczyło: nie widzę więcej gdzie fałsz, gdzie prawda. Wszystko co dobre ginie, wszystk co złe zwycięża. Często, Heleno Dmitryewno przychodził mi na myśl Kurbski, jednak te grzeszne myśli odganiałem od siebie, dopóki był jeszcze cel w mojem życiu, póki mi sił starczyło, ale celu już nie ma więcej, a siły się wyczerpały. Rozum mi się mąci

— Oby Bóg cię oświecił — Nikito Romanowiczu. — Czyż dla tego, że znikło twoje szczęście, pozostaniesz wrogiem carskim? i będziesz czynił na przekór całej ziemi ruskiej, która dzierzy przed nim kornie schylone głowy. Pamiętaj, że Bóg na nas zsyła próbę, byśmy się mogli zobaczyć na tamtym świecie. Wspomnij na całe życie swoje i nie obmawiaj się niesłusznie Nikito Romanowiczu.

Srebrny opuścił głowę. Rozpacz jego ustąpiła miejsca przed powinnością i długiem ojczyzny, w których był wychowany i które dotychczas święcie zatrzymał w sercu, choć i nie zawsze miał siłę im się sprzeciwiać.

— Nieś swój krzyż, Nikito Romanowiczu — powtórzyła Helena — idź dokąd cię car posyła. Nie zaciągnąłeś się do oprycznictwa i sumienie masz czyste. Idź na wrogów ziemi ruskiej. Ja do ostatniej chwili nie przestanę się modlić za obudwóch.

— Żegnaj mi Heleno! Żegnaj droga siostro! — jęknął Srebrny i rzucił się jej w objęcia. Nowicyatka spokojnym wzrokiem spotkała jego rozpacz, uścisnęła jak brata, i pocałowała trzy razy bez strachu i zamieszania, bo w tym pożegnalnym pocałunku już nie było tego uczucia, które przed dwoma miesięcy, u sztachet Morozowskiego sadu, rzuciło ją bezwiednie w objęcia Srebrnego.

— Żegnaj — powtórzyła i opuściwszy welon weszła do swej celi...

Zadzwoniono na Anioł Pański. Srebrny długo patrzył za Heleną. Nie słyszał, co mu mówiła przełożona, nie czuł, jak wzięła za rękę i do furty odprowadziła. W milczeniu wsiadł na koń i ponury pojechał z Micheiczem w sosnowy bór. Jęk klasztornego dzwonu przebudził go w końcu z odrętwienia. Serce mu się krajało od tego

...ku, ale zaczął się weń wsłuchiwać z taką rozkoszą, z taką miłością, jak gdyby w nim dźwięczało ostatnie pożegnanie Heleny. A gdy miarowe uderzenia, zlewając się w oddalony chór, ucichły w wieczornem powietrzu, to mu się wydało, że wszystko, co go jeszcze wiązało z tym światem, oderwało się od jego życia i owionęła go zewsząd lodowata przeraźliwa samotność.

Na drugi dzień oddział Nikity Romanowicza odbywał dalej swą podróż, zagłębiając się w ciemne bory, co się łączyły z Brańskim nieprzebytym lasem. Książę jechał na przedzie, a Micheicz tuż za nim, nie śmiejąc mu przerywać milczenia. Jechał Srebrny ze spuszczoną głową, i jego ponurym myślom, jego rozpaczy, przyświecało, niby daleka zorza, jedno tylko pocieszające uczucie. Była to świadomość, że wypełnił, o ile mu na to pozwalała umiejętność, dług swego życia; że zawsze szedł prostą drogą, nigdy z niej umyślnie nie zbaczając. Drogocenne uczucie, które wśród smutku i nieszczęść, jako skarb nieoceniony tkwi w sercu uczciwego człowieka, i w porównaniu z którem wszelkie rzeczy światowe, wszystko co stanowi cel ludzkich dążności — jest niczem.

To jedno uczucie dawało możność Srebrnemu przenosić życie. I powtarzając sobie każde słowo Heleny, znajdował smutne uspokojenie w myśli, że grzechem by było weselić się w owe czasy i że sam nie odłącza się od innych, ale razem z nimi cierpi nieszczęścia na tym świecie.

Przyszły mu na myśl także słowa Godunowa, i gorzko się uśmiechnął gdy wspomniał, z jaką ten pewnością mówił o swej znajomości ludzkiego serca "Widać" pomyślał książę, "nie wszystko umie odgadywać Borys Fedorowicz. Serce Iwana Wasiljewicza jest mu znane; wie naprzód co powie Maluta, co uczyni ten lub ów opricznik, a.e jak czują ci, którzy nie szukają dla siebie wszędzie korzyści, jest zakrytem przed oczami jego.

I mimowolnie wspomniał Srebrny o Maksymie, i pomyślał sobie, że nie tak by mu radził jego przybrany brat. Nie powiedziałby mu: nie z miłości wyszła za Morozowa, będzie czekała na ciebie, lecz by rzekł: spiesz się mój bracie, nie trać ani chwili, zamęcz konia, ale ją wstrzymaj póki jeszcze czas.

Przy myśli o Maksymie samotność Nikity Romanowicza wydała mu się jeszcze straszniejszą, bo wiedział, że nikt już nie znajdzie się na świecie, coby był tak blizkim jego serca, i z kim by mógł zamienić swe uczucia i z smutku się wyspowiadać.

Opuścił Srebrny głowę, rzucił lejce i jechał głuchym borem tak ponurym, jak i jego myśli. Miarowe kroki rozbójników przerywały ciszę pustyni. Dzikie jej mieszkanki, wiewiórki, niezwykłe w tem bezludnem miejscu bać się człowieka, nie chowały się, widząc uzbrojoną drużynę, jeno się wdrapywały na najwyższe gałęzie i z ciekawością przyglądały ztamtąd przechodzącym. Pstre dzięcioły czepiając się za korę drzew porośniętą mchem, obracały swe główki na przybyszów i znów zaczynały stukać dziobem w drzewa.

Któryś z byłych opryszków zachwycony wspaniałością przyrody zanucił półgłosem przeciągłą pieśń drudzy jęli mu wtórować i wkrótce wszystkie głosy zlały się w jeden chór, który dźwięcznemi tony rozlegał się po sędziwym borze.

Tu możnaby zakończyć te smutną powieść, lecz pozostaje jeszcze powiedzieć co się stało z innemi osobami, którym być może, tak jak i Srebrnemu, współczuli czytelnicy. O samym Nikicie Romanowiczu usłyszymy raz jeszcze w końcu naszego opowiadania, ale dla tego trzeba odrzucić siedemnaście smutnych lat i przenieść się do Moskwy w sławetny rok zawojowaniu Sybiru.

XL.

Poselstwo Jermaka.

Wiele czasu upłynęło od chwili, jak Srebrny wyruszył z Słobody na czele opryszków, którym Jan przebaczył. Wiele się zmieniło od tej pory na Rusi. Lecz Jan, po dawnemu, to wpadał w podejrzenie i tracił najlepszych, najznakomitszych poddanych; to się upamiętywał, żałował za grzechy przed całym narodem i posyłał do klasztorów o-

gromne skarby i długie synodiki z imionami zabitych, żeby się modlono za ich dusze. Z dawnych jego ulubieńców nie zostało ani jednego. Ostatni, i najgłówniejszy, Maluta Skuratow, ani razu nie będąc w opałach, zabitym został przy oblężeniu Pajdy czyli Wajsenstajnu w Liwonii. Na jego cześć spalił Jan wszystkich jeńców, Szwedów i Niemców. Setki i tysiące Rosyan, potraciwszy wszelką nadzieję i cierpliwość, masami uciekały do Litwy i Polski

Jedno tylko szczęśliwe zdarzenie stało się przez te lata. — Jan, widząc jak szkodliwym był podział ziemi na dwie połowy, większą i mniejszą, mniejsza bowiem szarpała większą, za sprawą Godunowa zniósł nienawistne oprycznictwo. Wrócił na stałe do Moskwy, a straszny dworzec w Aleksandrowskiej Słobodzie porzucił na zawsze.

Tymczasem wiele nieszczęść spadło na ruską ziemię. Głód i mór trapiły miasta i sioła. Kilka razy han wpadał na ruskie granice, i w jednym z swoich napadów spalił wszystkie osady pod Moskwą i większą część samego miasta. Szwedzi napadli z północy. Stefan Batory, przez sejm obrany po Zygmuncie, wznowił wojnę litewską i pomimo waleczności ruskich wojsk, zwyciężył przez swą umiejętność, i zabrał wszystkie zachodnie posiadłości. Carewicz Jan, choć był wspólnikiem czynów ojca, uczuł jednak na ten raz hańbę państwa, i poprosił cara, aby mu pozwolił iść z wojskiem na Batorego. Iwan Wasiljewicz upatrzył w tem spisek na strącenie go z tronu, i carewicz, uratowany niegdyś w Djablej Kałuży od niechybnej śmierci, teraz jej nie uszedł. W napadzie wściekłości ojciec zabił go uderzeniem ostrego jesionu. Powiadają, że Godunow, który się rzucił wtedy między nich, strasznie został zranionym od cara, i utrzymał się przy życiu jedynie dzięki lekarskiej sztuce Strogonowa, gościa z Peru.

Po tem zabójstwie, Jan w ponurej rozpaczy zwołał dumę i oświadczył, że chce wstąpić do klasztoru, i kazał, aby przystąpiono do obioru drugiego cara. Jednakże na usilne prośby starszyn pozostał na tronie i ograniczył swą rozpacz na pokucie i posłaniu bogatych datków do klasztorów. Wkrótce też znów zaczął tracić naród. I tak według Oderborna skazał na śmierć 2300 ludzi za to, że poddali nieprzyjaciołom różne fortece, choć sam Batory dziwił się ich męztwu.

Tracąc swe posiadłości jedną za drugą, zewsząd przez wrogów ugniatany, Jan ogromnie był zachwiany w swej potędze i to dręczące uczucie odbiło się nawet na całej jego powierzchowności. W ubraniu stał się niechlujnym. Wysoka jego figura się zgięła; oczy przygasły. Dolna czeluść upadła mu jak u starca. Tylko w obecności drugich robił nad sobą wysiłek, dumnie się prostował i podejrzliwie patrzył do koła, czy nie zauważa kto jego moralnego upadku. W owe chwile straszniejszym był jeszcze, niż w dni swej potęgi. Nigdy Moskwa nie znajdowała się pod takiem brzmieniem bojaźni i rozpaczy. W tych smutnych czasach niespodziewana wieść zawitała z dalekiego wschodu i wlała otuchę w wszystkie serca i smutek ogólny zamieniła na radość.

Z dalekich brzegów Kamy przybyli do Moskwy znakomici kupcy Strogonowie, krewni tego samego gościa, który wyleczył Godunowa. Strogonowie krewni tego samego gościa, który wyleczył Godunowa. Strogonowym car darował puste miejsca na ziemi Permskiej, i ci mieszkali tam jako władzcy, książęta, niezależnie od permskich namiestników. Mieli swój własny rząd i swoją drużynę. Ten im tylko postawił warunek car, by strzegli granic od dzikich sybiryjskich narodów, które od niedawna dopiero płaciły daninę rosyjskiemu państwu. Zaczepiani w swych drewnianych fortecach przez hana Kuczuma, Strogonowie postanowili przejść za Pas Kamienny i sami napaść na nieprzyjacielską ziemię. Dla prędszego wykonania tego zamiaru, zwrócili się do kilku rozbójniczych, albo jak ci sami się tytułowali: kozackich atamanów, którzy podówczas pustoszyli brzegi Wołgi i Donu. Najgłówniejszymi byli Jermak Timofeicz i Iwan Kolco. Ten ostatni niegdyś skazany na śmierć, prawie, że cudem uratował się od carskich strzelców i długi czas przepadł bez wieści.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JASKINIA BEATUSA.

POWIEŚĆ

— DLA —

WSZYSTKICH SZLACHETNIE MYŚLĄCYCH.

(Ciąg dalszy.)

Z całą ufnością oddaj się pod ojcowską jego opiekę. Wtenczas niech nastąpi co bądź, ty wszystko zniesiesz mężnie i cierpliwie. A jeżelibyś usłyszała, iż się ów gwałtowny rycerz Felzenbejm do zamku naszego zbliża, wtedy tu nie baw ani chwili. W nizkiej chacie wieśniaków możesz szczęśliwiej żyć, daleko szczęśliwiej niż w zamku wspaniałym w bliskości półdzikiego człowieka. Jest wprawdzie przykro, bardzo przykro własność mężowską opuścić i uciec się do łaski nieznanych ludzi, jednakowoż zdaj się na wolą Pańską i puść się w imię Boga z małym tym chłopcem w drogę. Wszędzie można napotkać na dobrych ludzi; ci zaś z radością przyjmą."

"Co do naszego syna, najdroższa żono, wychowaj go w taki sposób, jakeśmy to dotąd wspólnie czynili. Wspominaj mu często o ojcu, ale daleko częściej o owym ojcu, który jest w niebiesiech."

"Teraz Teodoro, najdroższa moja Teodoro, bądź zdrowa! Jam ci zaś to wszystko powiedzieć musiał, abyś wszystko znieść była gotowa. Bóg najdobrotliwszy, w którego prawicy życie nasze spoczywa, zrządzi to, co dla nas najlepszem będzie. Bądź więc zdrowa i módl się za mną w chwilę, kiedy będziesz sądziła, że się śród mieczów znajduję."

Tu zamilkł hrabia. Wielka łza uroniła się z jego oka; a hrabina nie mogąc dla płaczu ani słowa wyrzec, oparła swą twarz na piersiach swego małżonka.

Po chwili wziął swego synka na ręce i całując go, rzekł: "Kochany Otulku, o ty jeszcze nie możesz ciągnąć przy moim boku do boju; dopieroć siedem lat liczysz, twoja ręka jeszcze za słaba do machania mieczem rycerskim. Zostań więc w domu i bądź dla matki pociechą, aż znowu powrócę. A jeżelibym więcej nie miał wrócić, rozweselaj ją, gdyby się za bardzo smuciła, pocieszaj ją, wypełniając wierni wszystkie obowiązki dobrego dziecięcia. Czyż dla niej wszystko. Uprzedzaj ją w każdem życzeniu, które jej tylko z oka odgadniesz. Kochaj ją synowską miłością i wzrastaj na obronę przeciw niesprawiedliwości i hańbie. Nie opuszczaj twej matki ani w szczęściu ani nieszczęściu i bądź jej wierną podporą w najpóźniejsze lata. Co ci dotąd powiedziałem, umieść głęboko w pamięci i nie zapomnij tego, póki będziesz żył. A przy moim grobie postanów sobie święcie jeszcze raz, że wszystko będziesz czynił, czego ci tylko synowskie twe serce doradzać będzie. Teraz klęknij najukochańsze dziecię, i przyjmij ojcowskie moje błogosławieństwo: Bóg wszechwiedzący, który jest świadkiem w świętej godzinie rozstania niech raczy być z tobą; zostań na zawsze pełen jego miłości a nie daj się nigdy zbić z drogi cnotliwych ludzi, abyś po krótkiem tem życiu tamze stanął, gdzie się wszyscy znowu zobaczymy."

W ciągu tej mowy chłopiec płakał rzewnie; Teodora płakała także, lecz hrabia wstrzymał się od płaczu. Dawszy im ostatni pocałunek, oddalił się z pokoju czemprędzej. Oni przecie pospieszyli za nim, zeszli po kamiennych schodach nn dół i pobiegli aż do bramy, gdzie go powszechny okrzyk z ust mężów uzbrojonych z radością powitał. Uściskawszy jeszcze raz swą małżonkę i swoje dziecię, hrabia w milczeniu skoczył na konia i puścił się szybko jak błyskawica na swym dzielnym siwoszu naprzeciw nieprzyjaciela, a wkrótce nie było go więcej widać.

Gdy hrabia na czele swego orszaku po zwodzonym moście pędził, równie gdy już drogą kłusował, rozlegało się od silnych stąpań koni po całej okolicy, i głosy trąb wojennych napełniały powietrze, a dolina powtarzała wojenne śpiewy rycerzów powtórnym odgłosem. Do tego łączyły się jeszcze przytrąbywania stróża zamkowego, który tak długo dął w swój róg donośny, dopóki orszak od pochyłości wzgórza do doliny nie zjechał.

Teodora zaś i Oton spoglądali ze zamku z najwyższego okna na odjeżdżające rycerstwo, aż się na przeciwnej stronie doliny w poblizkiej bukowinie zgubiło; przytem było im bardzo boleśnie.

"Bóg mu bądź puklerzem i obrońcą!" przemówiła wreszcie szlachetna małżonka, zamykając okno. "On go też nie opuści, dopomoże mu w krwawej potyczce i przyprowadzi go nam całego i zdrowego w nasze objęcia. O módl się, drogi Otuniu! Módl się gorąco do Boga, aby ci ojca kochanego przy życiu zachował. Módl się z całego serca, a Dawca wszech rzeczy wysłuchać cię raczy; ponieważ mu się modły nabożnych dziatek bardzo podobają."

Takie były słowa matki, a chłopczyk już klęczał na posadzce i modlił się z wzniesionemi ku niebu rękoma, patrząc z dziecinną ufnością okiem swojem niebieskiem w niebieskie obłoki. "Miły Boże! rzekł z rozrzewnieniem, rzućże też okiem miłosierdzia wielkiego na mnie biedne dziecię! O zlituj się nademną! O nie dopuszczajże, nie dopuszczaj, aby mi źli ludzie ojca mego najukochańszego zabić mieli. Ach! czemżebym był bez niego? Biedną sierotą, opuszczoną i poniewieraną od świata. Lecz ty jesteś dobrym, tak nieskończenie dobrym. O wiem ja to dokładnie. Matka moja codziennie mi to wspomina. Ja się też cieszę niezmiernie, że się do Ciebie modlić mogę. Ty więc nie wzgardzisz moją modlitwą, owszem przyjmiesz, wysłuchasz mi ją. Za to ja ci też co dzień dzięki składać będę, będę Ci dziękował z dziecinną wdzięcznością, będę jak najgoręciej."

Bogobojna matka modliła się za synem, słowo za słowo po cichu powtarzając. Potem podnosząc go, rzekła: "Dobrze tak, drogie dziecię! Teraz możesz być spokojnym. Bóg najdobrotliwszy zawsze cię już zapewno wysłuchał. O bądź zawsze nabożnym i dobrym a wtedy możesz się do niego udać w każdej dolegliwości i wynurzyć mu swoje cierpienia." To rzekłszy, otarła łzę, która mu z jej oka na policzki była spłynęła.

Prawie cały dzień przepędziła hrabina w niespokojności, samotnie ze swoim synkiem w pokoju zostając. Tu się też od dawna najbardziej bawić lubiła, jeżeli dla niepogody wyjść na dwór nie mogła. Teraz siedziała przy krosienkach haftując na białym atłasie prześliczny krajobrazek, który na zbliżające się męża urodziny ukończyć chciała. Był to właśnie zamek Waldbergen z całą piękną okolicą. Ale łzy spływały dziś na ostatek jej robótki, zdawało się jej bowiem, że na niedługo swój zamek tylko na obrazku będzie widywała. Widząc Oton matkę swą płaczącą, spoglądał na nią z wyraźną żałością, a to ją jeszcze bardziej rozrzewniło. W każdej chwili wzrastała w jej sercu większa tęskność, większa obawa o życie męża. Więcej jak dwadzieścia razy pobiegła do najwyższego pokoju w zamku i wyglądała z natężonemi oczyma w tę stronę, zkąd właśnie hrabia miał wracać. Lecz za każdą razą zeszła z podwójną boleścią, patrzyła bowiem tak daleko, jak tylko oko sięgnąć mogło, a nie spostrzegła, nie odkryła go nigdzie ani też kogo z jego ludzi.

Wreszcie zdała się zupełnie na wolę Bozką, mówiąc: "Niech z nami czyni, jak mu się najlepiej podoba, bo co On pocznie, wszystko jest chwalebne." Kiedy niekiedy wzięła mandolinę i zagrała. Słodkie dźwięki strun wywierały skutek nader pożyteczny na smutne jej serce, osobliwie, że śpiewała pieśń o dobroci i wszechmocności Bozkiej.

Po obiedzie wziąwszy syna za rękę, wyszła na przechadzkę. Był to właśnie śliczny dzień jesienny. Mgła nader chłodna ustąpiła już z doliny, a ogrzewające promienie słoneczne rozlewały się dobroczynnie po okolicy. Hrabina przechadzała się po wzgórzu, na którym zamek stał. Jasna pogoda i ciepło umiarkowane było jej bardzo przyjemne, osobliwie, że po wielu dniach, w których ciągle padało, lub przynajmniej wielka mgła panowała, znowu po raz pierwszy ze

zamku wyszła. I wnet się też cokolwiek rozweseliła, i urwała kilka jesiennych kwiatów, które się jeszcze tu i owdzie pod krzakami pokazywały. Z tych kwiatów i bluszczu uwiła wianek. "Gdy mi mój drogi mąż powróci," myślała sobie w duchu, "dam mu jesienny ten podarunek. Z rąk małżonki musi mu być drogim każdy kwiatek, droższy nawet niż wawrzyny, które król na skronie zwycięzkiego wodza wkłada."

Wśród tych myśli zaszła aż w dolinę. Tu znajdował się gaj jodlanny, w którym zaraz przy wschodzie piękna kaplica stała. Na każdym jej rogu wznosiła się lipa odwieczna. Kościołek ten, jak śnieg biały, pięknie się odbijając z pomiędzy drzew ciemno-zielonych, wywarł na jej serce wrażenie przyjemne. Usiadłszy pod sklepieniem kaplicy na ławkę, oddała się całkiem nabożeństwu. Tymczasem bawił się chłopiec przed kaplicą z dziarskiem jągnięciem, jakich wiele po łące biegało. Hrabina znajdowała się więc sama, nikt jej nie widział, prócz Boga, który jej modlitw z upodobaniem słuchał.

W środku kaplicy wisiał obraz, ręką niemieckiego mistrza wykonany. Hrabia sam go wziął przed kilkoma laty ze swego zbioru malowideł, i umieścił go tam, aby zdarzenie z tak świętych czasów jak najgodniej przedstawiał. Był to wizerunek Matki Chrystusowej, trzymającej na łonie ciało święte syna swego przedwiecznego. Ciche cierpienia Matki przenajświętszej było z oddaniem się na wolą Bozką przez stosowne rysy twarzy a oczy ku niebu spoglądające, tak są połączone, że każdy, cokolwiek tylko uczucia mający, patrząc na ów obraz, łzy ronić musiał.

Rzuciwszy się przed tym obrazem na kolana hrabina, rzekła: "Ach, czemże są moje cierpienia w porównaniu z Twojemi, Bozka Dziewico! — Nie! nie chce się uskarzać, chociażby i Bóg przedwieczny i największe na mnie spuścił utrapienia. Owszem wszystko przyjmę z uległością, wszystko chcę znosić cierpliwie, co tylko z ojcowskiej jego ręki pochodzi. Przeczuwam ja wprawdzie smutną przyszłość; zdaje mi się, że słyszę głos wołający: "Teodoro, Teodoro! uzbrój się w męztwo, bo dni trwogi przyjdą na ciebie;" przecie mię Pan niebieski nie opuści, doda mi odwagi i siły, abym wszystko znieść mogła, co tylko na mnie przeznaczy. Wreszcie przemieni mój smutek w radość, jak to z Tobą, Najświętsza Panno, uczynił."

Modląc się tak, stawała się coraz spokojniejszą. — Dosyć długo bawiła się w kaplicy tak, że słońce już za grodem świeciło a góra zamkowa daleko w dolinę swe cienie rzucała. A że się oziębiło a dolina mgłą grubą wyziewała, nie podobało się więcej Otonowi tam dłużej pozostać. Przybiegł więc do matki i czekał spokojnie, aż wstała. Poruczywszy się jeszcze raz Panu wszechmocnemu, wzięła chłopca za rękę i pobiegła wolnym krokiem najbliższą ścieżką za zamek.

Gdy się już na wierzchołku góry ujrzała, wtedy właśnie zachodziło słońce, na wschodzie zaś wznosił się księżyc srebrzysty.

Cały wieczór przepędziła z Otonem w pokoju. Im bardziej się zmierzchało, tem bardziej wzmagała się obawa w jej sercu względem kochanego męża. Za każdym szelestem z podwórza pochodzącym, pospieszała z lampą, będąc pewnej nadziei, że się hrabia zbliża, albo, że jaki posłaniec przyjeżdża z wesołem doniesieniem, iż mąż jej nie legł i że go wnet w swych objęciach ujrzy. Ale jakże się boleść jej powiększała, gdy się za każdą razą omyliła!

Śród tej trwogi upłynęło jeszcze więcej godzin a każda minuta zdawała się jej wiecznością. Już było około północy. Wtedy dopiero odezwał się z wieży róg stróża, a radość oznaczał głos jego. Jednym krokiem skoczyła więc hrabina do okna, otworzyła je, wyjrzała i cóż widzi? Oto dostrzega przy świetle księżyca zbliżających się wojowników i powiewający sztandar z herbem hrabiowskim. Na samem zaś czele widzi tego, którego z taką niespokojnością oczekiwała.

Już rozlegał się tentent koni po dziedzińcu. "Otoniu! Ojciec, Ojciec przyjechał," wołała Teodora, i schwyciła chłopca za rękę i pospieszyła po krętych schodach ku najdroższemu.

Zsiadłszy z rumaka hrabia, rzucił się

do szyi małżonki, uściskał ją serdecznie i wynadgrodził jej tem cierpienia w czasie swej niebytności poniesione.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Opowiadanie przy kominie

"Bóg nasze modły wysłuchał!" rzekł hrabia z wielką wesołością trzymając Teodorę w uściśnieniu. "O pokładajmy w nim ufność w każdej potrzebie, droga żono! Teraz bądź spokojna i ciesz się, bo nieprzyjaciel jest daleko z naszych granic wyparty. Nie ośmieli on się znowu rychło na nowo napaść naszego okręgu."

Zwróciwszy się potem hrabia do swych wojowników, wychwalał ich męztwo i dziękował im w najwyższych wyrazach za przywiązanie i miłość ku sobie i teraz okazaną. — Cała więc czereda rozłożyła się przy świetle pochodni gromadami po podwórzu. Wszyscy się niewymownie cieszyli, iż walka tak szczęśliwy dla nich koniec wzięła.

Każdy pił na zdrowie drugiego i że żywy powrócił z utarczki. Sam hrabia nie rozebrawszy się nawet jeszcze ze zbroi, przechodził wraz z małżonką i synkiem między gromadami walecznych, wynosząc jeszcze bohaterstwo każdego w szczególności.

Gdy się już wszyscy uraczyli, dał im się rozejść do chat w koło stojących, przykazując, aby się przy najmniejszem zagrożeniu niebezpieczeństwem jakiem na pierwszy znak z wieży zamkowej dany, jak najspieszniej zbiegli. Kilku tylko zostawił do stróżowania murów grodowych.

"Teraz ci się wreszcie oddać mogę, słodki spoczynku!" rzekł, wszedłszy do pokoju i zaczynając się ze zbroi błyszczącej rozbierać. O jakże mile bije człowiekowi serce po szczęśliwie ukończonej pracy! I za to trzeba Bogu dziękować.

Teodora była już wszystko przygotowała na przyjęcie męża. Przy kominie, na którym się wielki ogień palił, stało krzesło z poręczami dla niego, a na stole z orzechowego drzewa stał jego ulubiony kubek, który dziś szczególnie dobrem winem został napełniony.

Do siedzącego już hrabiego zbliżyła się Teodora z uśmiechem, mając w jednej ręce haftowany obrazek zamku Waldbergen a w drugiej wieniec z jesiennych kwiatków. "Ten ja to wieniec, drogi mój Henryku, dla ciebie dzisiaj na przyjęcie uwiłam. Haftowanie zaś, to chciałam ci dopiero na urodziny ofiarować. Lecz nie mogłam wytrwać w żaden sposób, gdyż się za bardzo cieszę, iżeś szczęśliwie powrócił." Hrabia też przyjął oba podarunki z uradowaniem i rzekł pełen rozczulenie: "O droga ty moja Teodoro! o jakże się ty zawsze zatem ubiegasz, abyś mię niespodziewaną radością ucieszyła." Długo poglądawszy owe podarunki, schował krajobrazek we fałdę rycerskiego swego kaftana, wieniec zaś położył obok siebie na stole.

Teraz usiadła też i Teodora, a Oton przytulił się do nóg ojcowskich. Rozmawiali oni sobie wiele o dniu upłynionym. A gdy hrabia o Dytrichu Felzenhejmie mówić zaczął, namyślił się cokolwiek i rzekł: "Powiem wam też dzisiaj wszystko od samego początku, czemu ten drapieżnik od czasu moje włości najeżdża i pustoszy. Ma też z tem wielką styczność życie mojego ojca, o którego grobie dotąd dowiedzieć się nie mogę, jako z tem i własna moja młodość ściśle jest połączona. Często ja już wam prawiłem o dzielnym moim ojcu; wiem że i teraz radzi mnie posłuchajcie. Jest prawda już późno w noc, ale zdarzenie dnia dzisiejszego odpędziło sen odemnie a zapewno i od was. Nałóż więc, Teodoro, więcej drewek na ogień. Moje opowiadanie może się będzie dłużej ciągnęło niż owo zarzewie się wytli."

Tak też uczyniła Teodora a hrabia zaczął jak następuje: "Przy granicy czeskiej wznosi się znaczny pagórek przykry i borem jodłowym otoczony. Na nim był mocny zamek Falkenberg dźwignięty, z którego wszyscy moi przodkowie wyszli. Szare jego i olbrzymie wieże spoglądały na dolinę bogato w kwiaty przybraną, przez którą przy podnóżu pagórka strumyk płynął. Na około zaś stały pomieszkania ojcowskiej drużyny.

Ojciec mój, hrabia Rudolf na Falkenbergu, mąż dzielny i poczciwy, kochał mię

...mownie. Matki zaś nie znałem. Ledwie bowiem dwa lata mieć mogłem, kiedy mi ją śmierć z tego świata wzięła. Wtedy to jeszcze nie czułem tej straty, lecz tem bardziej ciężał smutek na duszy mego ojca. Nie jedną on noc przepędził w bezsenności i w łzach jak najrzewniejszych i nie jeden dzień był świadkiem jego żalu. Do tego wydarzyły się częste utarczki, które go niekiedy na długi czas od domowego ogniska oddalały.

Takim sposobem mogło moje wychowanie w domu rodzicielskiem powoli tylko jaki owoc przynosić. Dla tego mnie też ojciec do swego najlepszego przyjaciela oddał. Był to rycerz Luitpold Merenfelz. Opuszczając dom rodzicielski miałem dopiero dziewięć lat; ztąd mi też pewien giermek towarzyszyć musiał.

O jakże smutne było moje pożegnanie z ojcem. Odprowadził on mię aż pod bór jodłowy, zkąd jeszcze raz się na zamek pyszny i wspaniały obejrzałem. Stanąwszy wreszcie ojciec, rzekł: "Cóż ci mam jeszcze powiedzieć? mój Henryku. Wszakże już wszystko wiesz, czego od ciebie żądam. Lubo moje przestrogi krótkie są, przecie się w nich całe twoje szczęście zawiera. Miej zawsze Boga na myśli, kochaj bliźniego twego, staraj się być cnotliwym i dzielnym, nie mścij się nigdy a bądź miłosiernym i szczodrobliwym dla ubogich. Wykształć się na walecznego rycerza, abyś kiedyś wesoło mógł powrócić w ojcowskie moje uściśnienia, i aby rzec mógł: "Ojcze! oto mnie masz! Jakeś mi kazał, tak sobie postępowałem." — A teraz, mój synu, mój ty jedyny, przyjm moje błogosławieństwo."

"To mówiąc, położył swe ręce na moją głowę a śliczna łza wyroniła mu się z oka. Był on bardzo wzruszonym. Ja zaś płakałem na głos. Przycisnąwszy mię jeszcze raz do rodzicielskiego serca, wrócił czemprędzej do zamku. Ach, jakże długo za nim patrzałem. Wtedy też go ostatni raz uścisnąłem."

Tu umilkł hrabia na chwilę. Był on za... rozczulony. Teodora zaś otarła sobie jako też chłopcu łzy z oczu. Potem prawił hrabia dalej: "W Merenfelzie uważano mnie zaraz w pierwszym czasie, jak gdybym był synem tamtejszego pana. Tenże pan znajdował we mnie wielkie upodobanie, iż byłem rześkim i odważnym. Sama zaś moja pani ceniła moje zamiłowania w porządku i w ochędostwie bardzo wysoko. Ja też oboje szanowałem jak własnych rodziców."

"Przy tak sprzyjających okolicznościach postąpiłem w ćwiczeniach rycerskich w dosyć krótkim czasie bardzo daleko. Z każdym moim rówiennikiem wyścigałem się na dzielnym siwoszu o zakład, dzidę zaś rzucałem z niezwykłą siłą, a na pięście mogłem się z każdym przeciwnikiem potykać. — Właśnie lat dziewiętnaście liczyłem, gdy po całym kraju na cesarskie turnieje zapraszano. Gdy się już czas turniejów coraz bardziej zbliżał, rzekł do mnie rycerz Luitpold: "Henryku, teraz będziesz musiał całemu światu pokazać, czegoś się nauczył. Jutro odjedziemy do dworu cesarskiego. Dam ci najlepszego konia i moją własną dzidę, lecz pokaż się po rycersku, chłopcze, abym miał pociechę z ciebie."

"Lubo się cokolwiek wzdrygałem przed publicznem wystąpieniem z moją siłą i męztwem, przecie się już przed czasem cieszyłem, jak się to na cesarskim dworze pokażę. Spodziewałem się też, iż tam mego kochanego ojca zastanę. Lecz wnet spełzła nadzieja moja, dowiedziałem się bowiem, że dla słabości — w domu musiał zostać.

"Zbliżył się dzień wyznaczony. Z jak najodleglejszych okolic zbierały się ludy nawałem. O jakże się tam bawiono, jakże się tam tłoczono! Od owego czasu nic podobnego nie widziałem. Godzina turniejów wybiła. Wszystka szlachta niemiecka, rycerze i ich małżonki i córy byli już na miejscu i oczekiwali z niespokojnością rychłego widowiska.

"Rycerz Luitpold opiął mię w stalowo-niebieską zbroję i dał mi przytem niejedną przestrogę, jak sobie najmędrzej postępować miałem. Już byłem gotów ze wszystkiem. Wysoka kitka z białych i niebieskich piór powiewała mi nad jasno błyszczącym się hełmie, a miecz potężny wisiał mi przy boku. Ręce i pierś były stalą pokryte a po barkach spływał mi płaszcz atłasowy. W rycerskim tym stroju zdawało mi się żem silniejszy jak zwykle. Z włócznią żelazną

w ręku, wskoczyłem więc z niepospolitą żądzą walczenia na ślicznego siwosza, który był także bogato przystrojony.

"Kotły i trąby zabrzmiały. Wtedy to zaczęły się igrzyska Walka po walce następowała a lud krzyczał i tupał nogami i przyjmował zwycięzcę oklaskami dzikiemi.

"Teraz miano się o ostatnią i największą nagrodę dobijać. Herold cesarski pokazał z wysokiego balkonu krzyż szczerozłoty z takimże łańcuchem, który był bardzo długim. Na tym krzyżu stał napis: "Dla cnoty i męztwa." Za to ja się na wszystko odważę, pomyślałem sobie, poruczyłem się Bozkiej opiece i zwarłszy siwosza ostrogami, wpadłem na dany znak wśród szranków. — Jeszcze raz zatrąbiono a wysoki rycerz w czarną zbroję przybrany, na również wielkim a karym rumaku stanął mi naprzeciwko. Na widok tego olbrzyma mógłbym się był łatwo ustraszyć, ale moja krew wykrzykami ludu wzburzona a tem bardziej jeszcze ową nagrodą kosztowną, — gotowała mi się w żyłach, pobudzając do walki. Wreszcie rzuciliśmy się na siebie. Nasze puklerze zabłyszczały w pogodnem świetle słonecznem; o nie się to nasze włócznie odbiły tak, że aż rumaki zarżały i spiąwszy się, nazad cofnęły. Była to straszna walka. Oboje żęśmy się ucierali z równą walecznością a szczęście długo nie chciało między nami rozstrzygnąć. Wreszcie uderzył mój przeciwnik tak potężnie w tarcz moją, że siwosz mój na stronę skoczył i o mało mię nie zrzucił. Korzystając z tego ów czarny, natarł na mnie jeszcze zapalczywiej, lecz ja umocniłem się już był tymczasem na siodle i widząc, żem się nieco zapomniał, uderzyłem go tak silnie w prawicę, że strasznie klnąc z konia spaść musiał."

"Tu się wszczął niezmierny krzyk pomiędzy ludem. "Czarny spadł, niebieski zwyciężył!" wołali wszyscy bez przestanku tak że ani trąb ani kotłów dosłyszeć nie było można. — Byłem ja nader ciekawy poznać mego przeciwnika. Gdy swą przyłbicę otworzył, poznałem w nim Szczepana Eljendorf, tego samego, których się teraz Dytrych Felzenhejm nazywa i tyle mi utrapień robi. Pozdrowiwszy go grzecznie, podałem mu rękę na znak zgody. On zaś ściągnął swą twarz w brzydkim śmiechu i przebąknął do mnie: 'Krzyż i łańcuch są twoje; ale ci daję rycerskie moje słowo, że Henryka Falkenberg na przyszłość wszędzie wyszukam. "Nie zważałem ja wówczas bynajmniej na to, lecz wkrótce dał mi poznać co on przez to był rozumiał."

"Wśród wrzasku trąb i huku bębnow i wśród radośnego okrzyku tłumu dano mi nagrodą, dopiero co mężnie zasłużoną. Najnadobniejsza panna i najmilsza z całego mnóstwa rycerskich córek wybraną była, aby mi ją na poduszce purpurowej podała. Ty to byłaś droga Teodoro, ową panną, z której rąk ową zapłatę za pilność młodości mojej odebrałem. Z słodką pokorą i skromnością stałaś przedemną, mając niebieskie swe oko ku ziemi spuszczone. Wtedy ja cię po raz pierwszy widziałem. Już wtedy wzbudziła piękna twoja powierzchowność we we mnie życzenia, abym mógł poznać i duszę twoją daleko piękniejszą."

"Rozmaitemi pochwałami i powinszowaniami z ust hrabiów i szlachty obsypany, jak też przez samego cesarza na rycerza pasowanym zostawszy, powróciłem z moim wychowawcą, któremu wszystką tę cześć i zaszczyt winien jestem, nazad do Merenfelzu, zkąd potem do dziedziny pojechać chciałem. — Tu się zaczyna moja niedola, którą sobie tylko z serdeczną boleścią przypomnieć mogę.

"Ledwie bowiem kilka tygodni upłynęło, a tu przybył do rycerza Luitpolda posłaniec z Falkenbergu. Oddał on list, w którym mój ojciec na wszystko w świecie Luitpolda zaklinał, aby mu w pomoc pośpieszył naprzeciw obom rycerzom Eljendorf, którzy nieprawnie włości Falkenberga napadali: "Spodziewałem ja się tego," rzekł rycerz Luitpold, trząsając głową, kładąc list na stronę. "Przysiągłbym, że turnieje na dworze cesarskim tego są przyczyną.

"Tak się też rzecz miała. Stary bowiem Ejlendorf będąc z urodzenia mściwym i zazdrosnym człowiekiem, zawziął się zaraz o owej chwili, gdy pełen gniewu i hańbą kryty, syna swego pokonanego widział, że będzie ród Falkenbergów jak najsrożej prześladował. Zaraz też, skoro znowu w zamku swoim stanął, zaczął upatrywać spo-

bnej pory, jakby mógł najlżej wpaść do sąsiedzkich dóbr Falkenberga. I wkrótce nadeszła: bo cóż złośliwemu człowiekowi niepodobna; kiedy ustawicznie na zaspokojenie swej namiętności szuka? Pod niegodziwym czczym pozorem, że zwierzynę falkenberską ze swych posiadłości wystrasza, wpadł tu i owdzie do dóbr naszych i zostawił wszędzie ślady zniszczenia okropnego. A gdy mu mój ojciec jego nierycerskie czyny ganił, odpowiedział mu z szyderstwem, że go mój ojciec, jeżeli mu się to niepodoba, na otwartem polu poskromić może."

"Mój ojciec więc był przymuszony Luitpolda o pomoc prosić. Ten też zwołał za raz wszystkich swych giermków i żołnierzy i ruszył na ich czele w drogę. Ja jechałem ciągle przy jego boku."

"Był to właśnie prześliczny poranek, jakeśmy się na wzgórzu znajdowali, z którego całą okolicę Falkenbergu widzieć można. Dolina zaś, jak daleko oko sięgnąć mogło, była strasznie spustoszona a przy podnóżu pagórka ciągnęła się cała zgraja z powiewającemi piórami, mając właśnie dobywać mocnego grodu, dokąd wszyscy mieszkańcy z blizkich swych chatek pouciekali. — Jest to właśnie w sam czas, że tu przybywamy, rzekł Luitpold widokiem tym rozgniewany i kazał niebiesko-białe chorągwie jak najwyżej wznieść aby na zamku wiedzieli, iż już gwiazda wybawienia dla nich weszła. Ponuro brzmiały głosu marszu a powoli i w jak największym porządku postępował nasz oddział z góry na równe pole".

'Spostrzegłszy czarni rycerze chorągwie nieznajome, zatrwożyli się, lubo już pod zamkiem stojeli. Pewny nieład dał się nagle w ich hufcach widzieć. Lecz jeden z nich będąc na ich czele, z pysznie powiewającemi pióry na szyszaku, przyprowadził czemprędzej wszystko do pierwszego porządku i wiódł ich nazad naprzeciw nam. Wtem pokazały się na murach grodu błyszczące dzidy i miecze a na wieżach było widać wywieszone chorągwie z herbem Falkenberskiego rodu. Spostrzegłszy bowiem znaki Merenfelza zamkowa załoga i znajdujący się tam wieśniacy, ożyli z przestrachu i wzięli się wspólnie do oręża. — Trzy godziny przed zachodem słońca rozpoczęła się walna potyczka. Nasz orszak rozdzielił się na dwa oddziały; jednym z nich dowodził Luitpold sam przeciw staremu Ejlendorfowi a z drugim pociągnąłem ja naprzeciw Szczepanowi. Stałem się więc po raz drugi jego przeciwnikiem. — Skoro mię na czele uzbrojonych dostrzegł, zaraz się też i straszna złość w czarnej duszy jego obudziła. Zemstą sarkając zdawał się szaleć wśród walki gdyby wilk postrzelony. Ale Bóg, dobrą sprawą zawsze się opiekując, nie pozwolił mu, aby mię zgubił."

"Wypędziłem ja go za granicę i gnałem go przed sobą aż do bram Ejlendorfu, gdzie się będąc kilku tylko wojakami otoczony, schronić musiał. Większa część ludu poległa trupem lub ciężko raniona."

"Trwał bój aż późno w noc a było dosyć ciemno, gdyż nawet księżyc nie chciał być świadkiem porozsiewanych po równinie trupów. Gwiazdy tylko oświecały milionami okropne pobojowisko. Przybywszy z moim oddziałem na miejsce, gdzie był Luitpold walczył, zastałem tu wszystko cicho jak w grobie. Zgromadził on bowiem swych giermków, którzy uszli włóczni nieprzyjacielskiej, na odległym pagórku. Ztąd dopiero chciał do grodu Falkenbergu wciągnąć. Wysoko nałożony ogień straży i urywane głosy trąby polnej oznajmiały mi przy zbliżaniu się mojem, że na mnie tylko jeszcze czeka."

"Gdym już na wierzchołku pagórka stanął siedział on właśnie na murawie przy ogniu. Przy blasku płomieni dostrzegłem na jego twarzy smutek i strapienie. Głowę zaś miał opartą na ręku."

"Gdzież jest mój ojciec?" zawołałem, skoro tylko Luitpolda obaczyłem. Widziałem bowiem w godzinę przed zmrokiem, wtedy właśnie, gdy się walka najokropniejsza na stronie Luitpolda wszczęła, iż z bram Falkenbergu cały oddział zbrojnych wyruszył. Na ich zaś czele, jak mi się zdawało, poznałem ojca mojego. "Gdzież on jest?" zapytałem powtórnie, cały drżąc z obawy. Rycerzu Luitpoldzie, nie bądźże mi tak srogim; nie ukrywajże go między twoją drużyną. Wszakżem go już dawno, bardzo dawno nie widział. O pozwól, niech mu do nóg padnę, niech go łzami radości przywi-

tam, niech mu się rzucę w objęcia i niech mu powiem, żem jest jego kochanym Henrykiem." —

Rycerz zaś podniósł zwolna swą głowę i spojrzał na mnie wzrokiem boleść wyrażającym. Blask ognia odbił się w łzie, która w jego oku stała. "Henryku! rzekł, widziałeś ty owe trupy poległych tam na równinie? Twój ojciec kazał cię serdecznie pozdrowić. Ty byłeś ostatniem jego słowem, które on przed bohaterskim swym zgonem wyrzekł."

"Nie żyje więc!" wykrzyknąłem w nie wypowiedzianej boleści i zakryłem swe oblicze zbroczonym płaszczem. "Legł więc a ja go już więcej nie zobaczę?"

"W owej chwili okropnej nie wiedziałem jak mi się stało. Sambym był wolał ledz, był bym tysiąc razy chętniej legł, niż żem ojca najukochańszego postradał."

"Przy zachodzie słońca, rzekł rycerz dalej, wypadł on na czele zagrzanych swych giermków z bram swego zamku mnie ku pomocy, gdyż spostrzegł, jak byłem natarczywie od starego Ejlendorfa otoczony. Zwróciwszy walkę po większej części na siebie, zaczął się z Ejlendorfem ucierać sam na sam, aż go na ziemię powalił. Widząc to jeden z nieprzyjacielskich zastępów, przyskoczył i ściął twego ojca z konia. Przyspieszyłem ja mu na pomoc, lecz już było za późno. Zemdlony i pasując się z śmiercią leżał na ziemi a ja ukląkłem obok niego. "Żegnam cię, Luitpoldzie," rzekł do mnie konając. "Wszystko ci moje zostawiam. Opiekuj się moim Henrykiem jak prawy jego ojciec." A nim kilka słów pocieszenia przemówić zdołał, dostałem się znowu w odmęt natarczywego boju. Tak więc od wszystkich opuszczony, musiał zejść z tego świata."

"Usłyszawszy to, odwróciłem się na stronę i oparłem się z płaczem o dąb samotnie stojący. Cała nocna okolica leżała przedemną samotnie i w milczeniu. Na około wszystko straszliwie. W mojem sercu było nie inaczej; czuło ono się próżnem, bez pociechy i opuszczonem."

"Gdy tak wśród ciemnej stałem nocy, pokazał się nagle na wieżach Falkenbergu straszliwy ogień a w okamgnieniu ogarnął pożar gród cały z szybko roztzerzającym płomieniem. "Cóż to? krzyknął rycerz Luitpold. "Dalej! Czemprędzej! Spieszmy się, spieszmy! ugaśmy ów ogień. Może się jeszcze uda pyszny ów zamek ocalić. Jeśli zaś nie, możemy przynajmniej sprawcę tej niegodziwości schwytać. Zapewno to sprawka nieprzyjaciela." Tak się też miało w samej rzeczy. Bo ledwie stanęliśmy na miejscu zgrozy i zniszczenia, zobaczyliśmy dwóch ludzi, mających od Ejlendorfa rozkaz, aby się w nocy przez mury do zamku, przez zbrojnych ludzi opuszczonego, wkradli i aby go potem ze wszech stron podpalili. Chociaż nasi wszelkim sposobem pożar przytłumić usiłowali, chociaż przynajmniej kosztowności ocalić chcieli, przecie im się nie udało. Po upływie kilku godzin stało tylko tam więcej okopconych zwalin a w około leżały tlące się jeszcze gruzy."

"Tak więc nietylko najukochańszego ojca straciłem ale jeszcze i rodzicielskie dziedzictwo. Tak zdołał jeden dzień wszystkie moje nadzieje zniszczyć. Usiadłszy z daleka od dymiących się zwalisk, zacząłem płakać. Cóż miałem z sobą począć? Dokądże się udać? Nawet miecz znajdujący się przy moim boku nie był moją własnością. Te i tym podobne myśli dręczyły biedne moje serce nie jedną godzinę. — Wzniósłszy zaś oko ku gwiazdom na niebie, które tak mile, tak pocieszająco w niezliczonej mnogości przyświecały, uczułem niejaką ulgę. Pewna błoga smętność, pewne nabożne rozczulenie ogarnęło me serce i mogłem się modlić. Ciche światełka na niebie zdawały się pytać: "Chcesz się stać małowiernym Henryku, gdy cię Bóg doświadcza? Jakże stawasz mężnie i odważnie wśród najstraszniejszego boju — pokaż się więc takim i teraz, kiedy się twa dusza w walce znajduje. Pomyśl, że z Bozkiej ręki wszystko na dobre wynika. — Przytem przypomniała mi się pieśń, którą pobożny ojciec nie jednego wieczora przy blasku gwiazd nucił, jak jeszcze u nóg jego bawiłem:

Jak na powietrzu w lekkich obłokach
Gwiazdy ogromne wodzi w ich tokach,
Jak przelicza piasek nad morzem
Zna i przelicza okiem swem bożem;
Tak i o ludziach łaska jego święta
Ciągle, troskliwie pamięta.

"Pieśń ta tak była pocieszająca i tak mnie przygotowała, iżem był w stanie ponieść największe dolegliwości. Bóg też na mnie sen, który mię bardzo pokrzepił."

"Gdy dnieć zaczęło, zszedłem na równinę, chcąc między poległymi ojca mego wyszukać, a znalazłszy kochane ciało, łzami czułemi oblać a potem cichemu łonu ziemi powierzyć. Chodząc między zmartwiałemi twarzami, uczułem straszny dreszcz po mojem ciele. Wielu z mych znajomych wyzionęło ducha swego na owem miejscu. I starego Ejlendorfa widziałem między nimi Twarz jego żółtawa i dziko włosem porosła, i po śmierci jeszcze hardo wyglądając, leżała na krwawej grzywie wronego jego rumaka, a martwa ręka przyciskała ku ziemi miecz olbrzymi."

"Tam mego ojca spodziewałem się znaleźć, lecz napróżno. Przebiegłem raz, drugi i trzeci całe pobojowisko i zawsze napróżno. Dzisiaj jeszcze nie wiem, co się z nim stało. Może być, że trupa nieprzyjaciel porwał, aby na nim i po śmierci jeszcze zemstę wyuzdaną swoją wywierać. — Smutny pobiegłem na pobojowisko, lecz daleko smutniejszy nazad powróciłem. Luitpold miał wielką litość nademną i nie każdy listek przy drodze, każdy kamień z zburzonego zamku nowe łzy wyciskał. Odjechaliśmy więc nazajutrz nazad do Merenfelzu."

"Tu żyłem długi czas samotnie i od całego świata oddzielony. Każda rycerska zabawa była mi nieznośną. Miecz mój wisiał gnuśnie na ścianie, a włócznia rdzewiała w kącie. — Wreszcie przy nadejściu lata, udało się usiłowaniu szlachetnego Luitpolda, iż mi me życie cokolwiek uprzyjemnił. A jakże nie miałem przy jego boku i największego smutku zapomnieć? Wszak mi był prawdziwie drugim ojcem."

"Pewnego wieczora przystąpił do mnie z wesołą twarzą, potrząsł mię serdecznie za rękę i zamknął mię w swoich objęciach. Potem rzekł: "Henryku! zawsze byłeś dobrym chłopcem i robiłeś mi od dawna wiele [illegible]. Za to ci też Bóg błogosławić będzie. Obowiązek, który twój dzielny ojciec umierając na mnie włożył, wykonałem, jak [illegible] powinien. Wychowałem cię po rycer[illegible], i co więcej jeszcze, w cnocie i bogobojności. Teraz trzeba pomyśleć, jakbyś się sam o siebie mógł starać, dla tego ja ci też w jednej z okolic Szwabii piękny rycerski zamek kupiłem. Pociągnij więc tam i gospodaruj, jak na rycerza przystoi. Bądź i nadal dobrym i poczciwym aż do grobu. Miej Boga zawsze na myśli a on cię nie opuści, póki żyć będziesz."

"Ze łzami w oczach podziękowałem mu za tę łaskę, przyrzekając na nowo, że będę miał jego nauki zawsze w świeżej pamięci. Po kilku tygodniach udałem się na moje dobra a on sam towarzyszył mi. Od mego grodu przybierając nazwisko, nazywałem się odtąd Henrykiem Waldbergen. Chciałem ja przez to uniknąć prześladowań młodego Ejlendorfa. Takim sposobem zbywało mi tylko jeszcze na wiernej, kochającej małżonce, którąby mi z rozsądną troskliwością w domu pracować mogła, a szczęście moje domowe byłoby na najwyższym stopniu. Wtedy wspomniałem na ów dzień cesarskich turniejów i na ową hożą pannę, z której rąk ową nagrodą zaszczycony byłem. Pewnie lekkie przeczucie, jak gdyby mi od Boga była przeznaczona, popędziło mię na dwór cesarski. Tam, ja cię, droga Teodoro, poznałem bliżej; twoja skromność i łagodność podobały mi się; stanąłem więc uczciwie i otwarcie przed twymi rodzicami i wyjawiłem im moje życzenia. Znając mój ród szlachetny i dobre moje powodzenie, zezwolili na moją prośbę, byle córka tylko na to przystać chciała. A że chciałaś, Teodoro, wzięliśmy ślub i staliśmy się parą najszczęśliwszą."

"Mając wierną dobrą towarzyszką przy łonie a między nami miłego Otonia, cóż mi jeszcze mogło do szczęścia domowego brakować? Za to też dziękowałem Bogu najwyższemu każdego rana, skoro się obudziłem, a na wieczór, nim zasnąłem, dziękowałem mu znowu. Każda modlitwa, każde wejrzenie ku niebu było podzięką za cichą radość, którą i mnie Pan Niebieski obdarzył. Lecz tak nie zostało nazawsze, sprawca wszystkich moich cierpień, które mię tylko dotąd spotkały, musiał mię i w tej okolicy dokuczać."

"Szczepan Ejlendorf utraciwszy wkrótce swe włości dziedziczne przez częste bo-

je z sąsiadami, włóczył się ze zgrają niegodziwych zebrańców po kraju tak długo, aż się wreszcie na tej stronie Renu niedaleko dóbr moich ugnieździł. Zbudowawszy tam na ogromnej skale nad brzegiem mieszkanie, nazwał się odtąd Dytrychem na Felzenhejmie, gdyż się imienia Szazepana Ejlendorfa daleko wszerz i w dłuż bojano i każdy je przeklinał. Wkrótce przywłaszczył on sobie całą okolicę, a gdy się już potężnym stał, zaczął i inne okręgi napadać. Tak się też i w moich dobrach pokazał i rozszerzając wszędzie spustoszenie, posunął się aż pod moją twierdzę. Musiał się snać dowiedzieć, iż Henryk Waldbergen nie był nik inny, jak ów Henryk Falkenberg, który mu w dzień turniejów nagrodę odebr. ł. Zebrałem więc wszystkich mych ludzi. Pomocy zaś od nikogo nie mogłem się spodziewać. Rycerz Luitpold bowiem pożegnał się już z tym światem i spoczywał spokojnie w grobowcu swych przodków. Musiałem się więc z całą moją siłą odważyć i wyruszyłem w imię Bozkie naprzeciw nieprzyjacielowi. Udało mi się, żem go odpędził aż na jego skałę. Lecz od owego czasu pokazuje się niekiedy i burzy nam naszą spokojność.'

'Przecie Bóg wreszcie inaczej postanowi w radzie swojej przenajświętszej. Zaufajmy mu tylko całem sercem. Może też natchnie naszego wroga lepszemi myślami tak, że pozna, jak wielkie nam wyrządza niesprawiedliwości. A chociażby się i tak nie stało, wtedy mamy najlepszą sposobność do ćwiczenia się w dolegliwościach. Więc zdawajmy się zawsze na świętą jego wolę, a on wszystko najlepiej zrobi."

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Ostatnie chwile we Waldbergen.

Dotąd opowiadał hrabia, gdy tymczasem po licach Teodory rzęsiste łzy spływały a mały Oton ni na chwilę oka z ust ojca nie spuścił. Wreszcie przygasł już i ogień na kominie, czego ani nawet nie spostrzegli, a na wielkim ściennym zegarze biła dwunasta godzina.

Wstał więc hrabia z krzesła mówiąc: "Już też wielki czas, abyśmy się udali na spoczynek. Moje opowiadanie trwało prawdziwie dłużej, jakiem z początku myślał. Śpijcie więc spokojnie. Ręka Pańska niech was broni i zachowa od wszystkiego złego wśród ciemnej nocy. Dobra noc! Pan Bóg niech raczy być z wami." — To rzekłszy dał jeszcze małemu Otonowi nocne błogosławieństwo. Oton zaś złożywszy swe rączki zaczął zwykłą swą modlitwę wieczorną mówić:

Ojcze, co królujesz w niebie!
Teraz modlę się do Ciebie,
O, wysłuchaj prośbę mą,
Gdy się świat pokrywa ćmą!

Bądź obrońcą mi tej nocy,
Dodaj w razie złym pomocy,
Gdy się ocknę z miłych snów,
Chęć do cnoty we mnie wznów.

Jeszcze chłopiec modlitwy nie skończył, aż tu się z wieży głos strażniczego rogu dał słyszeć. Brzmiało to smutnie i okropnie. "O Boże! cóż to to znaczy?" wykrzyknął hrabia i poskoczył szybko ku oknu. Teodora i Oton drżeli z przestrachu po całem ciele. Wtem wpadł po schodach pewien sługa do izby i zawołał:

"Wielmożny Panie, zginęliśmy! Nieprzyjaciel zebrał się znowu i poszedł nieznacznie w ciemnej tej nocy aż pod tylny mur zamkowy. Ciasna furta stoi już w płomieniach, a pochodnie nieprzyjacielskie napełniają już cały dziedziniec."

Będąc o tem strasznem zdarzeniu uwiadomiony, hrabia przywdział zbroję czemprędzej a chcąc na dół pospieszyć i tam swych ludzi do męztwa pobudzić, rzekł do swojej małżonki, która z załamanemi rękoma przed nim stała.

"Teodoro żono najukochańsza! powinność mię woła. Muszę walczyć dla waszego ocalenia. Bóg będzie się mną i wami opiekował. Bądź zdrowa! Gdyby się niebezpieczeństwo powiększyć miało, weź swe dziecię i uciekaj. Przez skryte sklepienie możesz wyjść do ogrodu a ztamtąd na równe pole. Niech się Bóg opiekuje wami! Bądźcie zdrowi? Żegnam was!"

(Ciąg dalszy nastąpi.)

RZEŻ W KROŻACH.

(Ciąg dalszy.)

Kozacy! musimy spieszyć jak najprędzej! Ludzie chcą przepłynąć przez rzekę i pouciekać! Może się dużo potopić! Jeśli nie zapobieżemy temu, to wszystkie dziewczęta mogą pouciekać, albo się potopić, a my wówczas nie będziemy mieli z kim pohulać! Chłopi zaś, jeżeli się potopią z pieniędzmi, to cóż nam się dostanie? Spieszmy! Dajmy im nahajkami i przepędźmy wszystkich napowrót.

Kozacy.

(*Na czele z Mitrafanowem wychodzą i za chwilę wracają, pędząc i bijąc nahajkami ludzi.*)

Gubernator.

Kozacy, postawcie straż, żeby nie pouciekali i przygotujcie nahajki! Ja tym sukisynom pokażę, co to jest gubernator! Ja im daruję kościół! Ja im pokażę, jak pełnić należy rozkaz cara!

Zofik i Duła.

(*Uzbrojeni stają na straży: jeden po jednej a drugi po drugiej stronie.*)

Oficer. (*Do gubernatora.*)

Co teraz rozkaże czynić wasza wysokość?

Gubernator.

Rozbierać, kłaść na ziemię i bić po kozacku!

Oficer.

(*Odwraca się do kozaków i powtarza im rozkaz gubernatora.*)

Kozacy.

(*Kładą na ziemię najprzód Bartłomieja [illegible]*)

Gubernator.

[illegible] *już kozacy zaczęli bić Bartłomieja, zbliża się i mówi:*)

Czy teraz będziesz słuchać gubernatora i sprawnika?

Doktor.

(*Bierze za rękę Bartłomieja, maca puls, potem mówi:*)

O, jeszcze mocny jest! Jeszcze można bić!

Gubernator.

Dajcie jemu jeszcze jakich sto nahajek! Nie chcieliście oddać kościoła, teraz całą waszą majętność odbiorę, a was wszystkich na Sybir!

Doktor.

(*Znów próbuje puls Bartłomieja a potem mówi:*) O, jeszcze mocny jest.

Oficer. (*Do Bartłomieja.*)

A co, może jeszcze chcesz, aby ci przyłożyć? Czy teraz będziesz wiedział, jak szanować urzędników?

Bartłomiej.

Możecie pić krew moją! Nasyćcie się!

Gubernator.

Dajcie jemu jeszcze 25 nahajek!

Kozacy.

(*Odliczywszy 25 nahajek i widząc, że już nie żyje, przestają bić.*)

Gubernator.

Dajcie temu suki-synowi jeszcze 25 nahajek!

Mitrafanow.

Wasza wysokość! on już nie żyje! (*Następnie z Borysem wloką Bartłomieja w stronę, po czem kładą Adama Szepitura i przygotowują się do bicia.*)

Gołumbowski.

(*Gdy Kozacy rozciągnęli Adama, przychodzi do gubernatora i mówi błagalnie*): Łaskawy panie! Ten człowiek i ta kobieta

(*pokazuje*) są zupełnie niewinni. Oni nie byli z początku w kościele, oni przyszli wówczas, gdy usłyszeli głos dzwonów!

Gubernator *(Do doktora).*

Jak się doktorowi zdaje, ile nahajek można dać temu?

Doktor.

25 to najmniej.

Gubernator.

Kozacy dajcie jemu 25 nahajek!

Kozacy *(wypuszczają z rąk Adama, a biorą Gołumbowskiego.)*

Gołumbowski *(Do gubernatora).*

Łaskawy panie! ja jestem szlachcicem; a podług prawa najjaśniejszego cesarza, szlachcica bić nie wolno!

Gubernator.

O! to on szlachcic!... więc dajcie jemu 15 nahajek więcej.

Kozacy.

(*Biją Gołumbowskiego, potem Stanisława i innych*).

Maryanna.

Widząc, że i na nią kolej przychodzi, klęka przed gubernatorem, i płacząc prosi:
Najjaśniejszy Panie! jestem niezdrowa, z bólu umrę! a mam kilkoro małych dziatek, które nie mając matki z głodu poumierają!

Oficer *(Kopiąc ją nogą).*

Precz ty ścierwo! Jeszcze ty tu będziesz uprzykrzać się panu gubernatorowi! Kozacy, dajcie jej nahajkami prędzej, to będzie milczeć!

Kozacy.

(*Biją Maryannę nahajkami i pozostawiają ją na wpół nieżywą*).

Gubernator.

(*Gdy kozacy ukończyli bicie, mówi:*) Kozacy! przypędźcie bliżej tych suki-synów!

Kozacy.

(*Przypędzają wszystkich pozostałych przy życiu*).

Gubernator.

(*Do ludu*) Na kolana bydło!

Kozacy.

(*Nahajkami zmuszają wszystkich klęczenia, a Maryannę, która jest tak słaba że się na nogach utrzymać nie może, kozacy podtrzymują, aż gubernator przestał mówić.*)

Gubernator *(Do klęczących).*

Chciałem was pouczyć, żebyście zrozumieli, co jest władza! Żebyście się nauczyli szanować gubernatora i sprawnika! Czy więc będziecie jeszcze sprzeciwiać się władzy?

Ludzie.

Nie... nigdy nie będziemy sprzeciwiać się!

Gubernator.

Czy teraz będziecie wypełniać rozkazy gubernatora i sprawnika?

Ludzie.

Będziemy!

Gubernator *(Do kozaków):*

Kozacy, dziękuję wam! Wszystko dobrze wykonaliście! Wypełniliście wszystkie moje rozkazy, tak, jak ja pragnąłem i jak było potrzeba!

Kozacy.

Z radością pełnimy rozkazy waszej wysokości!

Gubernator.

Zamknijcie gdziekolwiek tych suki-synów, żeby nie uciekli, a sami możecie pohulać, jak tylko wam się podoba.

Kozacy.

Pokornie dziękujemy waszej wysokości!

AKT IV.

SCENA I.

Ciż sami i żyd. (*Zabici leżą. ... Zofik uzbrojeni pilnują, gubernator stoi po prawej stronie.*)

(Ciąg dalszy nastąpi.)